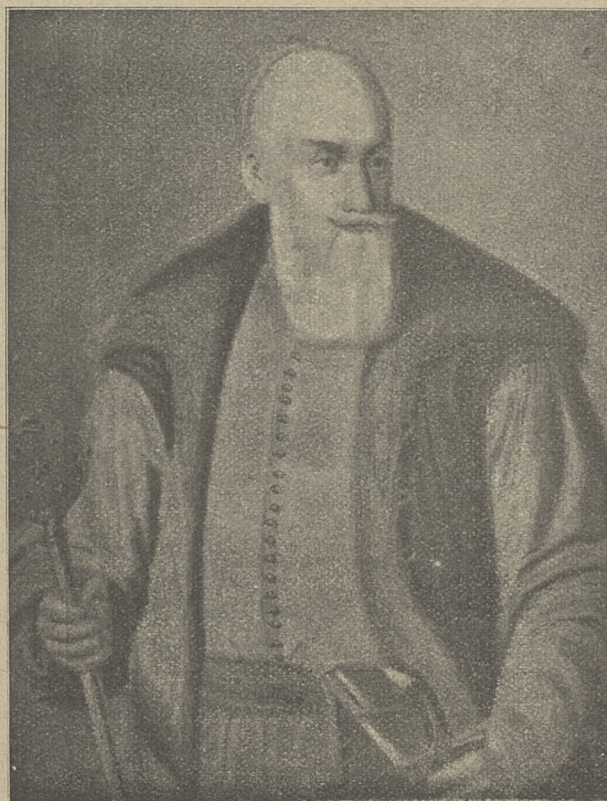


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.



Stanisław Rewera Potocki.

Stanisław Potocki z przydomkiem Rewera (co znaczy po łacinie: Zaprawde) był słynnym wojownikiem z XVII wieku. Urodził się w 1579 r. jako syn możnej rodziny i otrzymał staranne wychowanie w kraju, a następnie we Francji i Niderlandach, gdzie się wprawiał w sztuce wojennej.

Brał udział w bitwie pod Guzowem (1607 r.) przeciw Zebrzydowskiemu i w oblężeniu Smoleńska (1611 r.), walczył też ze stryjem Stefanem pod Ceorą (1622 r.). następnie przez lat 15 (od 1637 r.) już to pod dowództwem Koniecpolskiego, już to sam dowodząc, poskramiał kozaków i strzegł granicy południowo-wschodniej, nie szczędząc trudów i zachodów. W r. 1652 otrzymał buławę mniejszą po zgonie Kalinowskiego, a w 1654 większą. Najważniejsze jego zwycięstwa były pod Ochmatowem (1655 r.) nad Chmielnickim i pod Cudnowem (1660 r.) nad Szeremetjewem. Umarł w r. 1667, dobrze zasłużony krajowi.

Z utworów zapomnianych poetów.

* * *

Mieczysław Romanowski (1834—1863)

BUŁAWA REWERY.

Twarz taka pogodna, pod hełmem włos siwy,
Na czole promienie spokoju;
Powraca z daleka, choć starzec sędziwy,
A jeszcze przewodził tam w boju.

Lecz tęskno Rewerze po bojach — spoczynku
I życia z rodziną w zagrodzie,
I gędźby przy szklance i dum przy kominku.
I słońca zachodu w pogodzie.

O dosyć mu krwi już — i dosyć już chwały,
Zdobytej na hordzie, Osmanie
I Moskwie i Szwedzie; bohater on biały
Już doma do grobu zostanie.

Sześćdziesiąt lat gromi i wiatry stepowe
Prześciga zwyciężką pogonią;
Na mrozach północy obielił on głowę,
A pierwszy, gdzie w szable zadzwonią,

Gdzie wielcy Rewery rówieśni i druhy,
Wódz Stefan na Czarncy i Jerzy,
Hetmani, co szwedzkie kruszyli łańcuchy,
Orłowie sarmackich rycerzy.

Dziś spokój w Koronie; śmierć w bojach nie miała
Dla piersi żelaznych tych gromu,
Więc myślał Rewera: bądź, Panie, Ci chwała,
Żywota dokonam już w domu!

Tam syn mu w sen wieczny zaciśnie powieki,
Po życiu burzliwym i srogiem.
Rozmawiał on z wrogiem jako step daleki
Dziś pragnie rozmowy już z Bogiem.

Tu jego już błonia, bogate tak w plony,
Koń stąpa drożyną zamkową;
Tam rolnik sędziwy swe orze zagony
I nuci skowronek nad głową.

Rewera tak dawno nie widział już pługą,
Więc stanął, — szczęść Boże! — zawoła —
I patrzył jak czarna krajała się smuga,
I radość błyszczała mu z czoła.

I wzrok się promieni; wtem rolnik się zwrócił,
Poznaję, — pan jego wielmożny;
Więc skoczył od pługą i do nóg się rzucił,
— A witaj, hetmanie, w dzień zbożny!

— Nie hetman jam, bracie, orz dalej twą rolę.
Orz śmiało, ja wracam do domu;

Tatarzyn już końmi nie stłoczy twe pole,
Ni Bohdan przyniesie ci gromu.

I rolnik usłuchał, pług sprawił, gnał woły,
Pług w ziemię się zaciął, — ustawa;
Pękł lemiesz, — patrzą — o święci Anioły!
Pod skibą hetmańska buława.

Podnieśli, — śniedz starli, — i podziw ich ima.
A rolnik przy pługu uklęka,
I patrzy na niebo łzawemi oczyma,
I rzewną modlitwę wyjeka.

Od wschodu bo dziwnie widnokrąg się mroczy,
I ptactwa mnogiego tam wrzawa;
Wtem rolnik się zerwie, do wodza przyskoczy:
— O panie, to twoja buława!

— Weź broń twą, hetmanie, jam znachor twej włości,
Bóg czasem mi zgadnąć pozwoli,
A przyszłość wyczytać umięją i prości;
Buławę weź w dani z twej roli.

Rewera się zdumiał: — Żyw jeszcze przez Boga!
Nasz hetman koronny, żyw jeszcze!
A rolnik odpowie: — Idź, panie, na wroga,
Źle wróżą nam ptaki te wieszczce.

— Patrz, lecą od wschodu, tam burza się zrywa
Ptak darmo od gniazda nie leci:
Znać grzmi tam janczarka i burczy cięciwa,
Hetmanie, pośpieszaj do dzieci.

Rewera na trakt się zawrócił już lwowski,
Bodzony ostrogą koń bieży,
Więć leci po drodze: zginął Kalinowski!
Rewera i wierzy — nie wierzy.

I modli się w duszy rolnika słowami:
O Boże! czyż nigdy spokoju?
Czyż wiecznie twój piorun grmieć będzie nad nami?
Ach! wiecznież mam latać do boju?!

Znów wjeżdża do Lwowa, a dziwny gwar w grodzie
I odgłos go wita studzowny,
Witają go pany i ludu powodzie:
Hej! wjeżdża nasz hetman koronny!

O ratuj! hetmanie! — wieść straszna, od Boha
Chmielnicki Bohdanko znów w polu;
Legł hetman koronny na błoniach Batoha,
A kozak już huła w Podolu!

— Skąd wieści, rycerze? — hej! szlachta, Bóg z wami!
Podano list króla, — buławę:
Rewera list czytał i zalał się łzami,
I pomknął na boje, na krwawe.



List otwarty Henryka Sienkiewicza

do Polaków ze Stanów Zjednoczonych
Ameryki Północnej.

Rodacy!

„Komitet Warszawski pomocy dla pozbawionych możliwości zarobkowania“, który powstał z połączenia się wszystkich poprzednich Komitetów ratunkowych, ogłasza i będzie w dalszym ciągu ogłaszał listy ofiar nadesłanych przez Was ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Ale prócz obrachunków należy Wam się coś więcej, a nianowicie należy Wam się od całego społeczeństwa gorąca bratnia podzięką za Waszą ofiarność, za Wasz patryotyzm i za ów ratunek, który usiłujecie nieść ludności pozbawionej wskutek strajków chleba w ojczystym kraju.

Wiemy, że i za oceanem niewielu z Was dochodzi do dostatków i że musicie ciężko i wytrwale pracować na chleb powszedni, ale właśnie dla tego tem lepiej rozumiemy, że to, co przysyłacie, jest istotną ofiarą, jest może nieraz groszem wdowim.

Fala życiowa zaniosła Was na dalekie brzegi, ale myśli Wasze przelatują jakby płactwo morskie ocean i krążą nad starym krajem, a serca w Waszych piersiach płoną jednaką zawsze miłością dla wspólnej nam *Matki-Rodzielki*.

Więc błogosławiaj Was za to w Ojczyźnie nieszczęśliwi i dzięki Wam czyni kraj cały. Wiedźcie, że błoga, doniosła i skuteczną jest Wasza pomoc i że były już chwile, w których, gdyby nie Wy, — ratunek doraźny musiałby uleść przerwie.

Cześć Wam za to Rodacy i Rodaczki, które w tak gorących słowach odpowiedziałyście mi na odezwę zamieszczoną w dziennikach warszawskich.

Cześć tem większa, iż oświadczacie, że ofiarność Wasza nie jest dotychczas wyczerpana i że zasiłki w dalszym ciągu z Waszych pracowitych i błogosławionych rąk płynąć będą.

Kraj ich potrzebuje, albowiem nie jedna, ale dwie klęski gniotą go ciężkiem brzemieniem: doraźna klęska głodu i druga, sroższa jeszcze, od lat całych unyślnie podtrzymywana, klęska ciemnoty. Nie wolno nam było mieć szkół naszych, i za przestępcę jeszcze do niedawna poczytywany był każdy obywatel, któremu leżała na sercu oświata ludu! Chciano ten lud mieć powolnem narzędziem i rozumiano do-

brze, że tylko ciemny da się prowadzić na złowrogie bezdroża i że posiew nienawiści tylko w ciemności wzrastać może.

Dziś ciężkie czasy nie przeszły jeszcze, ale jednakże świta nam lepsza nadzieja i zwolna spiętrza się przed nami olbrzymie zadanie, którego bezpośrednim celem jest oświata i nauka ludu.

Albowiem tylko przez naukę i oświatę stać się możemy z czasem silnym, prawym, rozumnym i rozumnie miłującym Ojczyznę narodem. Więc pomóżcie nam i w tem, drodzy Rodacy. Nie chcę Was wzywać do nowych wysiłków, bo wiem, że i tak czynicie wszystko, co możecie, ale skoro sami zapowiadacie dalszą pomoc, to pozwólcie, aby część tych Waszych groszów ofiarnych szła i na głodnych duchowo, t. j. na nasze przyszłe ludowe szkolnictwo polskie.

Za Wasz patryotyzm, za waszą miłość bratnią, za Waszą niezrównaną serdeczną ofiarność będą Wam wdzięczne nietylko dzisiejsze, ale i przyszłe, da Bóg szczęśliwsze od nas, polskie pokolenia.

Raz jeszcze — dzięki Wam z całego serca — i cześć także temu szlachetnemu wolnemu krajowi, który daje Wam chleb, a nie odbiera pamięci.

Henryk Sienkiewicz.

(Rodacy nasi z Ameryki nadesłali w ciągu dwóch miesięcy 39000 rubli. *przyj. Red.*)

Wspomnienia z lat młodości.

przez St. Br.

(*Ciąg dalszy.*)

Był to kapitan Ubysz. Zeskoczywszy z konia, wy dobył z pokrowca lunetę i skierował ją ku owej linii, którą miałem mu zaszczyt sam pokazać. Wnet zawrócił się do nas i krzyknął:

— Siadaj-no który na szkapę i ruszaj po kosynierów, niechaj tu żwawo biegają, tylko konia w pysku nie ściągaj, bo cię zrzuci!

A do nadechodzącego porucznika:

— Czy powaryowali? Toż na piechotę, stojącą w lesie, kawaleryę puszczaają! Potem zwracając się do Galicyan, kazał im wstrzymać ogień, nastawić wiziery na 400 kroków i czekać.

A potem rzekł do nas:

— A wy, chłopcy, za drzewa i baczność!

— A gdy mi który bez komendy strzeli, to już ja mu strzelę!

Tymczasem owa linia zbliżała się coraz bardziej, wkrótce usłyszeliśmy tentent koni, później błysnęły wydobyte szable i utworzyły

błyszczący pas nad zbliżającą się masą; rozległo się głośne uraaa! aż echo w lesie odpowiedziało, zahuczała ziemia i jakby zadrżała miarową falą!

Przyznaję, że mi serce biło jak młotem, ale nie tyle ze strachu, choć co prawda i tego tam trochę było, ile z oczekiwania. Boć i na dzika niezupełnie się spokojnie czeka, a tutaj te *du-du-du! du-du-du!* silniej na nerwy działało.

Widziałem doskonale, jak jakiś wąsaty oficer z długimi bakenbardami, które mu wiatr na ramiona zarzucił, bódł konia ostrogami i szablą coś szeregom pokazywał, a wtem rozległ się ostry, dźwięczny głos Ubysza: na stój! cel! od lewego w dym pal!

Rozległ się długi trzask, jakby kto sztukę płótna rozdzierał, dym zasłonił wszystko, a gdy się trochę rozwiął, zobaczyliśmy przed sobą, kilkanaście koni i ludzi, a reszta zmykała w pełnym galopie, co chwila jednak z tej masy wysuwał się to koń, to człowiek i już zostawał na polu.

Galicyanie ze swoich belgijczyków puscili im w dogonkę kilkadziesiąt strzałów, ale Ubysz kazał wstrzymać ogień, mówiąc: że się do cofającego nieprzyjaciela nie strzela i że tak nasz żołnierz nie powinien robić.

Mój oficer, którego doskonale wytrzymałem, biorąc go wpół z prawej strony, zachwiał się na siodle, pałasz mu wyleciał z ręki, ale go zaraz podtrzymali i zabrali z sobą; — kilka koni bez jeźdźców wpadło na nas i te zatrzymano.

Konie były rosłe, skaro-gniade, jeden szczególnie z białą gwiazdką na czole wszystkim się podobał.

Po polu cwałowało także kilka koni, i nasi kosynierzy chcieli je chwycić, ale Ubysz nie pozwolił.

Tymczasem ogień artyleryjski rozdzieliło; nad naszymi głowami zaczęły znowu wyć granaty i z straszliwym hukiem pękać z tyłu w lesie, ale nikomu nic złego nie zrobiły, tylko jednemu strzelcowi sucha gałąź, oderwana granatem, rękę złamała.

Parę granatów nie pękło a jeden kosynierzy znaleźli. Między nami usposobienie było dobre, bo nic tak nie rozwesela żołnierza, jak zwycięstwo, a po owym udatnem odparciu wspanialej i groźnej szarzy huzarów, byliśmy gotowi choćby piechotą na armaty uderzyć, z owym niewystrzelonym granatem w rękę. Projektowano włożyć weń kulkę i w chwili, gdy będziemy dochodzili, zapalić i rzucić między artylerzystów. A że granacisko było ogromne, więc liczyliśmy na straszliwy efekt, jaki z tego wyniknie.

Jednakże mimo pozornej praktyczności tego projektu, której ja co prawda nie przyznawałem, kapitan parsknął śmiechem, machnął ręką i kazał nam dalej leżeć pod sosnami.

Ja byłem po części w rozpacz, gdyż udało mi się wystrzelić zaledwie cztery ładunki, a byłem już w dwóch bitwach, wypadało zatem po dwa ładunki na bitwę, a że ich miałem 150, więc starczyłoby na 75 bitew, to jest na liczbę, którą się żaden nawet Napoleoński żołnierz, poszczycić chyba nie mógł.

Wielką też chęć miałem pozbyć się chociaż połowy tych ładunków, jednakże myśliwska żyłka do zapasów na wszelki przypadek przemogła.

Właśnie rozmyślałem nad tem, gdy Galicyanie szybko posunęli się naprzód na sam brzeg lasu i poustawiali się za drzewami, a nam kazano cofnąć się w głąb lasu i pokłaść za sosnami na ziemi.

Tu już mnie złość wzięła, żebym miał karabin, tobym mógł chociaż z połowę swoich ładunków wystrzelać, a tak leż jak baran za sosną i czekaj zmiłowania Bożego!

Kosynierów ukryto jeszcze dalej i tak leżeliśmy i czekali. Nieprzyjaciel jakby przycichł, tylko z naszej strony Galicyanie pukali ciągle do owych armat.

Aż tu naraz zabręczały kule karabinowe, jakby kto na rój os nastąpił, jednocześnie usłyszeliśmy znowu znany trzask plutonowego ognia, a potem zaraz gęstą tyralyerkę: taf! taf! trrr! taf! taf!

Z naszej strony Galicyanie też nie milczeli. Kule sypały się koło nas, jak grad, to świszcząc, to warcząc, rwąc korę, lub też z głuchym odgłosem „cap!“ uderzając w drzewa. Wogóle przeciwnik nie żałował ładunków.

Po jakimś czasie natężenie ognia zmniejszyło się, ale mimo to, wezwani do odnoszenia rannych kosynierzy, dość często przesuwali się między nami, niosąc rannych na pośpiesznie urządzonych noszach.

Już to widok rannych fatalny wpływ wywiera na żołnierzy. Zabity to nic! padnie sobie na ziemię i leży spokojnie, nikomu nie przeszkadzając, owszem nawet jeżeli w szczerem polu, to można dwóch położyć jednego na drugim i z poza nich leżąc strzelać. A ranny zwłaszcza niewytrzymały jak zaśpiewa, to człowiekowi po plecach ciarki chodzą.

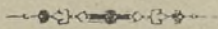
Tak i teraz było z jakimś dwoma biedakami, mającemi strzaskane nogi; tych jednak dalej w las odniesiono, a przytem za radą Rady dano im pić wódki, ile tylko chcieli, i tak jakoś przycichli.

Dla rannych bowiem najważniejsza rzecz picie. Bez opatrunku mogą się obejść dość dłu-

go, bez przykrości, ale pić ciągle wołają; zresztą sam na sobie doświadczyłem, jak się to okropnie nawet przy stosunkowo lekkiej ranie pić chce.

Ale tymczasem szarzało, strzały po mału cichły, tylko jeśli gdzie po ciemku coś błysnęło to zaraz z przeciwnej strony padało kilkanaście strzałów, w tym kierunku na te znowu odpowiadano, i t. d. U nas jednak w krótkce zabroniono tej zabawki, i tak się tedy skończyła owa bitwa bez wyraźnego rezultatu, choć ze znacznymi stratami dla obu stron.

(d. c. n.)



NASZE RYCINY.

Największe zwierzę na ziemi. Paleontologia czyni coraz większe zdobycze, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie ofiarnością bogatych jednostek muzea gromadzą przeróżne okazy starodawnych stworzeń, odtwarzane ze znajdujących w różnych miejscowościach kości i części szkieletów. Największą hojnością odznaczył się pod tym względem milioner Carnegie, płacący bajeczne sumy za każdy wydobyty z ziemi dobry okaz szkieletu.

Rysunek nasz przedstawia właśnie odtworzony z części okaz króla wszystkich gadów wygasłych, największego z olbrzymów-jaszczurów, które istniały w tak zwanym okresie jurajskim, około kilkuset tysięcy lat przed epoką historyczną.

Uczeni dali mu nazwę „Brontosaurus“ (jaszczur grzmiący). Posiadał ogon szeroki, wiosłowaty, szyję bardzo wydłużoną, a głowę potwornie małą.

Skoro sama kość udowa dosięgała 3 metrów długości, całe zwierzę musiało mierzyć nie mniej 20 do 25 metrów, niektórzy sądzą, że nawet do 40 metrów, czyli długość niejednej sali koncertowej.

Niemiełe musiało być spotkanie z takim potworem!

Córka Tycyana. Obraz niniejszy jest dziełem jednego z najsławniejszych malarzy Odrodzenia, mistrza szkoły weneckiej, Tycyana Wecellia (1477—1576).

Był on równie znakomitym portrecistą, jak malarzem religijnym i pejzażystą, odznaczając się zawsze jasnym, złotym tonem i nadzwyczajnym urokiem.

Wśród wielkiej liczby portretów znakomitości współczesnych odmalował też portret ukochanej córki, w kwiecie jej wieku i urody, który tu zamieszczamy.

O broni palnej

i przyczynach smutnych z nią wypadków.

(Ciąg dalszy.)

Proch strzelniczy, którego wynalazek przypisują Bartoldowi Szwarcowi—był już podobno wyrabiany bardzo dawno przez Chińczyków, ci używali go jednak wyłącznie do ogni sztucznych. Alchemicy europejscy znali także w XIII wieku mieszaninę węgla, siarki i saletry, ale proch ten topił się raczej niż wybuchał, Arabowie przez oczyszczanie saletry wyrabiali prawdziwy armatur proch, którego wybuch wypychał gwałtownie pocisk z rury.

Chrześcianie zaczęli naśladować Arabów w XIV wieku, w 1325 r. we Florencji lano metalowe armaty i żelazne kule.

Wynalazek przyjął się w całej Europie, ale udoskonalął się bardzo powoli. Aż do XV wieku, armaty wyrzucały pociski, które sięgały niewiele dalej niż pocisk z łuku.

Broń palna ręczna stała się straszną właściwie w XVII wieku. Od przenośnych armat, zwanych śmigownicami ręcznymi, które trzeba było przy strzelaniu opierać na widłach—przechodzono powoli do rozmaitego rodzaju samopałów, arkabuz, piszczeli, muszkietów, zanim zaczęto wyrabiać fuzye i karabiny.

Początkowo zapalano proch lontem, potem kurek uderzał o krzemień w ten sposób, że iskra padała na hubkę i zapalała proch (skałkówki), wreszcie wynalazek masy pistonowej, która wybuchała od uderzenia bez ognia—i natychmiast zapalała proch, — umożliwił wprowadzenie strzelby nowożytnej.

Następnem ulepszeniem budowy samej fuzyi było nabijanie nie przez lufę, lecz z tyłu (system odtylcowy), co znakomicie skróciło czas potrzebny do nabijania broni. Jednocześnie lepsze odrabianie luf i wynalezienie silniejszego prochu bezdymnego oraz kul rozrywających sprawiło, że obecnie zarówno karabiny wojskowe, jak i wyborne myśliwskie sztucery i rewolwery nowych systemów są bronią potężną, pomimo swej względnej lekkości, lecz naturalnie wymagającą umiejętnego obchodzenia się.

Najlepszą bronią myśliwską wyrabiają w Anglii i w Belgii. U nas w Polsce, choć myślistwo i wojaczka kwitły, nigdy niestety! prawdziwie dokładnej i dobrej broni nie wyrabiano.

„Sagalas London à Bałabanówka“, o której wspomina Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ była to nieszczęśliwa fuzyjka, tembardziej podziwiać potrzeba naszych przodków, że mimo lichej na ogół broni tak celnie strzelali i byli takimi mistrzami w łowiectwie.

Słusznie też mówi Sienkiewicz, sam wielki myśliwy, że gdy w innych językach nazwa tego rodzaju zajęcia pochodzi od źródłosłowu: łowić albo gonić, (chasse, Jagd, hunt) w języku polskim oprócz tego istnieje druga nazwa: myśliwstwo, myśliwy, bardziej duchowa, świadcząca, że Polacy nie tylko szukali w polowaniu zdobywcy, ale i wiele *myśli*, skoro od tego źródłosłowu wywiedli to drugie dla łowiectwa miano.

Ta nazwa „myśliwy“ obowiązuje. Trzeba więc myśleć także o tem, jak najlepiej używać broni, nie bać się jej, lecz zarazem przez nieumiejętność i lekkomyślność nie narażać drugich i siebie na kalectwo lub śmierć.

* * *

Pierwsza zasada nauki obchodzenia się z bronią, powinna polegać na tem, aby doświadczony strzelec początkującemu pokazał i wytłumaaczył, co to jest strzelba, jakie są następstwa strzału, jak lekkie pociśnięcie cyngla powodowuje wystrzał, jak na zewnątrz nie można wiedzieć, czy broń nabita, czy nie nabita. Stąd wniosek pierwszy, że trzeba *lufę trzymać zawsze do góry*, żeby uniknąć wypadku, naturalnie z wyjątkiem tej chwili, kiedy się spodziewamy, że natychmiast będziemy strzelali, lub na lekcyi celowania.



Brontosaurus. (p. str. 125).

Nigdy też nie należy do nikogo mierzyć chociażby na żart nawet z nienabitej fuzji.

Następnie trzeba nauczyć się szanować broń i delikatnie się z nią obchodzić.

Chłopcy od lat 8 mogą już poznać szczegółowo skład broni, nauczyć się strzelbę rozbierać, składać, czyścić zaraz po strzale, i utrzymywać w ciągłej czystości, mogą też przystąpić do nauki celowania, z początku naturalnie z nienabitej broni.

Gdy już chłopiec w celowanie się wprawi zrozumie dobrze, co to wizier, a co muszka, należy przystąpić do tak zwanego *klapania*.

W tym celu z tyłu strzelby miejsce, w które uderza kurek należy zakryć kawałkiem skóry, żeby zamek zabezpieczyć od rozbicia. Uczący się, celując, powinien odwiedziony kurek spuszczać, a nauczyciel bacznie śledzić, w którą stronę lufa podczas spuszczenia kurka od celu uskończy. Dobrze jest nalepić małe czarne znaczniki na szybie, wtedy chłopiec sam widzi w którą stronę mu się lufa umknie, najlepiej jednak używać sposobu używanego w wojsku, t. j. kazać sobie celować do prawego oka, wtenczas doskonale widać, w którą stronę lufa się umknie, i można łatwo od tego chłopca odczytać.

Po nauczeniu się dokładnem klapania, t. j. gdy już strzelba mimo uderzenia kurka z linii nie schodzi, (do czego dojść stosunkowo łatwo, pilnie bacząc, ażeby uczący się nie ściągnął cyngla nerwowem szarpnięciem, a tylko długim, miękkim, jakby z niechcenia ściągnięciem, co trwa zwykle kilka tygodni, zdejmuje się skórka i zakłada się piston, lub próżna gilza od ładunku i próbuje gaszenia świecy.

W ślad za tem, następuje strzelanie, z początku lekkimi pół nabojkami, a potem i pełnymi, *lecz zawsze małemi* nabojkami, unikając jak ognia, żeby nabój broń Boże nie szarpnął, bo jedno takie szarpnięcie całą naukę celowania zniweczyć może. Przy nauce tej należy, aby uczeń celował tylko prawem okiem, lecz nie zmrużał lewego, co pozwala sprawdzić natychmiast skutek strzału.

Broni do strzelania, należy używać odtylecowej, jako bez porównania bezpieczniejszej i praktyczniejszej, do strzelania z pistonów do świecy można używać starej fuzji, ale pistony konieczne powinny być miedziane, w ostateczności karbowane mosiężne, lecz nigdy nie należy używać cienkich mosiężnych pistonów, bo masa zwykle rozrywa je na kawałeczki, co nieraz spowodowało przykre wypadki.

Z kolei rzeczy następuje nauka *robienia ładunków*, które tylko w dzień robić należy, i to w takim pokoju, w którym się wtenczas żaden ogień nie pali. Nauczonego już strzelać chłopca, można brać na małe krótkie polowania, uważając przytem, ażeby strzelba nigdy nie była nabita w

drodze. Trzeba więc usilnie pilnować, wyjaśniać to i tłumaczyć, że ładunek powinien się wkładać w broń, dopiero na stanowisku, i zaraz po zejściu z niego wyjmować, tak aby przy przechodzeniu, a zwłaszcza przy przejeżdżaniu z jednego stanowiska na drugie, broń obowiązkowo

zwilżony mineralnym tłuszczem kłakani, dopóki kłaki koloru zupełnie zmieniać nie będą.

Następnie trzeba czystymi suchymi pakułami wycierać, dopóki lufa w środku silnie błyszczeć nie będzie. Wtedy obróciwszy się w stronę



Lavinia, córka Tycyana. (p. str. 125).

wo była nie nabita. Jeżeli chłopiec jest rostrzepany, to najlepszym sposobem skłonienia go do bacności jest nie wziąć go na następne polowanie; na drugi raz z pewnością pilnować się będzie.

Czyszczenie broni. Zaraz po powrocie z polowania, chłopiec sam powinien swoją broń wyczyścić, więc lufy dokładnie przetrzeć lekko

światła, patrzeć w lufę z góry na dół, ustawwszy pod spodem przy samej lufie mały kawałek lusterka, pod kątem tak, aby światło do wnętrza lufy wpadało, w ten sposób wnętrze lufy będzie oświetlone i najmniejszą plamkę, lub skazę dokładnie się zauważy. Gdy już lufa w środku zupełnie jednostajnie błyszczeć będzie, należy ją zlekka rozgrzać, postawiwszy

w lecie na słońcu, w zimie przy piecu, i znowu suchemi, miękkimi pakułami napojonemi tłuszczem kilkakrotnie przetrzeć dla zabezpieczenia od rdzy.

Takie oczyszczenie broni, zwłaszcza gwin-towanej, jest niezbędne, gdyż w tej ostatniej najmniejsza plamka rdzy, przy niedbalstwie szybko się rozszerza i celności strzału pozbawia.

(d. n.)

JULIUSZ VERNE

Wśród Łotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy).

Obok Niemców i Łotyszów znajdują się jeszcze w kraju Nadbałtyckim Rosyanie. Aczkolwiek faworyzowani przez rząd, stanowią oni żywioł mniejszy liczebnie; starają się o ile możliwości wypierać Niemców z zajmowanych urzędów.

Szefem policyi był w owym czasie pułkownik Ragenow, Rosyanin gorliwy patriota, wrogo usposobiony względem wszystkiego co niemieckie i łotewskie. Śmiały, przedsiębiorczy, policyant z powołania, nie cofał się przed żadną przeszkodą i bez skrupułu uciekał się do środków surowych, byle tylko osiągnąć cel zamierzony.

Pomocnikiem jego był major Verder, zacięty Niemiec lecz służbista gorliwy. Gorliwość ta jednak zwracała się wyłącznie przeciwko Łotyszom. Współrodaków swoich osłaniał przy każdej sposobności.

Prawą ręką majora Verdera był nasz znajomy, podoficer Eck, bardzo oddany swemu zawodowi i niechętnie usposobiony względem Rosyan i Łotyszów.

Trankel z miną zbiedzoną szedł ulicami Rygi, minął pałac gubernatorski, rynek, gdzie się sprzedaje wszelkiego rodzaju tandeta i zatrzymał się koło jakiegoś kiosku dla wypicia gorącej herbaty z rumem, którą mu zaproponował szynkarz wędrowny; gapił się czas jakiś na praczki, nio-sące kosze z bielizną, wyminął konwój żołnierzy, prowadzący więźniów, wreszcie stanął przed ratuszem.

Powitano go tutaj jak dobrego znajomego.

— A, dzień dobry, Trankel, jakże się miewasz? — rzekł jeden z policyantów. — Cóż to się stało, że tak często zaglądasz do nas?

— Przysłano mnie, — odparł Trankel z westchnieniem.

— Któż cię przysłał?

— Mój pan, bankier Franciszek Johansen.
— Chcesz się pewnie zobaczyć z majorem Verderem?

— Oczywiście... jeżeli można.

— Właśnie, przed chwilą wszedł do kancelaryi. Zaczekaj chwilę, oznajmię mu o twem przybyciu.

Z temi słowy opuścił Trankla i wrócił po chwili, dając mu znak, ażeby wszedł do gabinetu pomocnika policmajstra.

Trankel zatrzymał się u drzwi i zapukał lekko.

— Wejź! — usłyszał w odpowiedzi.

Major Verder siedział przed biurkiem i przetrzucał stopy papierów. Na widok Trankla podniósł głowę.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Przyszedłem po odpowiedź na list, doręczony wczoraj.

— Ach, to od bankiera Johansena.

— Tak jest.

— Zaczekaj!

Zaczął znowu przetrzucać papiery. Trankel stał o parę kroków w postawie pełnej uszanowania.

Nagle u drzwi kancelaryi rozległ się jakiś hałas.

— Major Verder... Gdzie major Verder?... wołał ktoś głosem zdyszczanym.

Major otworzył drzwi i stanął na progu.

— Co się stało? — zapytał żywo.

Agent policyjny podał mu depezę, mówiąc:

— Popelniono zbrodnię...

— Kiedy?

— Nocy dzisiejszej.

— Jaką zbrodnię?..

— Morderstwo...

— Gdzie?

— Na drodze do Parnawy... w szynku „pod złamanym hakiem“.

— Kto jest ofiarą?..

— Inkasent z banku Johansenów!

— Jakto? Poch?.. Czy to być może?.. Biedny Poch!.. wołał Trankel, wysuwając głowę z kancelaryi.

— Czy znane są motywy zbrodni?.. badał major.

— Kradzież. W pokoju bowiem zamordowanego znaleziono pusty pugilares.

— Co zawierał?..

— Niewiedomo, panie majorze. Można jednak rozpytać w banku.

— Depesza o tem nie mówi.

Major zwrócił się do skupionych dokoła agentów.

— Ty... pójdziesz do sędziego Kerstorfa.

— Słucham, panie majorze!

— A ty biegnij do doktora Paulina!

— Słucham, panie majorze!

— Powiedźcie, że będę na nich czekał w banku Johansenów.

Agenci puścili się pędem, a w parę chwil później i sam major Verder udał się do banku.

Trankel pośpieszył do domu, zapominając o swem strapieniu osobistem.

VII. Śledztwo.

W parę godzin później traktem parnawskim mknął szybko powóz Johansenów, zaprzężony trójką pocztowych rumaków, które zmieniano na każdej stacyi.

W powozie siedział bankier, major Verder, doktor Paulin, sędzia śledczy Kerstorf i pisarz. Dwaj agenci umieszcili się na kozle.

Sędzia Kerstorf, człowiek około pięćdziesięcioletni, odznaczał się wielką bezstronnością i sprytem. Skryty i małomówny zawsze, dnia tego nie odzywał się wcale.

Rozmowę — zresztą dosyć urywaną — podtrzymywał tylko bankier i major.

Franciszek Johansen ubolewał nieustannie nad śmiercią ulubionego urzędnika, którego cenił wysoko za gorliwość, akuratność i wypróbowaną uczciwość. Ze współczuciem odzywał się o biednej Zofii, której długie narzeczeństwo zakończyć się miało tak tragicznie.

— Nieszczęśliwy Poch — mówił — zamiast do ołtarza, poprowadzimy go na cmentarz!

Majora obchodziły najwięcej szczegóły zbrodni. W jakich okolicznościach popełnione zostało morderstwo? Czy w szynku „pod złamanym hakiem“ znajdują się jakieś wskazówki, jakieś ślady przestępcy? Czy działał on na własną rękę, czy też należał do szajki?

Doktor Paulin siedział zamyślony, nie zwracając uwagi na towarzyszy podróży. Zaprzętały go całkowicie troski osobiste. Dnia poprzedniego zaszedł do Ozolinów i, ku wielkiemu zdumieniu, Matiasa w domu nie zastał. Zaniepokojona Marta powiedziała mu, że ojciec wyjechał nagle rano, bez pożegnania. Po obudzeniu się znalazła kartkę lakoniczną, w której profesor donosił, że Rygę opuszcza na dni parę, nie mówiąc ani słowa, dokąd wyjeżdża. Projekt powziął widocznie wcześniej, dnia tego bowiem nie otrzymał żadnego listu, żadnej depešy. Dlaczego jednak o projektowanej wycieczce nie wspominał przyjacielom?.. Prawda, że zawsze był skryty lecz tym razem otoczył się tajemniczością większą niż zwykle i zgoła nieumotywowaną; słusznie więc mogła zaniepokoić się córka i przyjaciele.

Dzień był suchy, nieco chłodny. Ostry północno - wschodni wiatr rozproszył chmury.

Po wczorajszej śnieżycy droga była nieszczególna i konie męczyły się strasznie, pomimo iż zmieniano je na każdej stacyi.

Podróźni nasi jechali dosyć szybko. Na jednej stacyi tylko zatrzymali się półgodziny i w nędznej oberży zjedli śniadanie. Poczem ruszyli dalej.

Po śniadaniu w powozie zapanowało milczenie zupełne. Każdy myślał o czemś innym. Major Verder niecierpliwił się ogromnie, uważając, że jadą nie dosyć prędko i co parę minut popędzał stangreta.

O piątej po południu powóz zatrzymał się na ostatniej stacyi przed Parnawą. Słońce chyliło się już ku zachodowi.

Do szynku „pod złamanym hakiem“ było jeszcze wiorst dziesięć.

— Panowie — odezwał się sędzia Kerstorf — na miejsce zbrodni przyjedziemy już w nocy. Przeprowadzenie śledztwa będzie więc bardzo utrudnione. Proponowałbym zatrzymać się tutaj do rana i wyruszyć o świcie. Będzie nam z pewnością wygodniej niż u Kroffa.

— Uwaga zupełnie słuszna — podtrzymał sędzię doktor Paulin.

— Zostajemy więc — zdecydował bankier, a może major Verder ma coś przeciwko temu.

— Ja? nic zupełnie... chyba to, że opóźniony poszukiwania — odciął się major, który pragnął stanąć jaknajprędzej „pod złamanym hakiem“.

— Ależ szynk jest już z pewnością obstawiony przez policję — zauważył Kerstorf.

— Tak. Depesza mówi, że z Parnawy niezwłocznie wysłano agentów z rozkazem nie wpuszczania nikogo i śledzenia Kroffa.

— A zatem, wszystko w porządku — ciągnął dalej sędzia — zwłoka kilkugodzinna nie zaszkodzi sprawie.

— Tak, lecz dzięki tej zwłoce morderca zyskuje na czasie — odparł major głosem zirytowanym.

Nikt go jednak nie poparł. Wobec zbliżającej się nocy wszyscy woleli odłożyć śledztwo do jutra.

Wysiedli zatem z powozu, kazali sobie podać obiad, poczem udali się na spoczynek.

Nazajutrz zerwali się o świcie i o siódmej rano byli już „pod złamanym hakiem“.

Agenci parnawscy przyjęli ich na progu. Kroff z miną obojętną kręcił się po sali, usługując narzuconym sobie gościom, sprząając talerze i kieliszki.

Agenci pilnowali, ażeby w szynku pozostało wszystko bez zmiany tak, jak było w dzień spełnienia zbrodni. Nie wpuszczano nikogo z okolicznych wieśniaków. Ciekawi jednak skupili się

w pobliżu i przyglądali się z zajęciem przedstawicielom władzy. Znali już opowiadanie Broksa.

Około godziny siódmej rano ten, stosownie do umowy, zjawił się w szynku Kroffa wraz ze stangretem i stelmachem. Kroff zapewnił konduktora, że inkasent śpi jeszcze.

Podeszli obaj do drzwi i zapukali lekko. Żadnej odpowiedzi. Zapukali więc mocniej, raz, drugi i trzeci. Wszystko było daremnie. Wtedy wyłamali drzwi i ku wielkiemu swemu przerażeniu ujrzeli na łóżku nie zastygłego jeszcze trupa. Na ten widok Broks nie mógł się powstrzymać od łez. Biedny Poch!

Wczoraj jeszcze zapraszał go na wesele!.. a jak się cieszył na dzień ślubu!.. Nie namięlając się długo, Broks wskoczył na konia i popędził do Parnawy, do zarządu policyjnego, który niezwłocznie majora Verdera zawiadomił o wypadku.

Załamawszy niezbędne formalności konduktor wyruszył z powrotem do szynku „pod złamanym hakiem“, przypuszczając słusznie, że obecność jego może być potrzebna przy śledztwie.

* * *

Po przybyciu na miejsce, sędzia Kerstorf i major Verder przystąpili niezwłocznie do badania. Agenci policyjni, rozstawieni dokoła domu, bronili wstępu ciekawym.

Kroff zaprowadził przybyłych do pokoju, gdzie spełnioną została zbrodnia. Pan Johansen, z żalem głębokim patrzył na skrwawioną, zeszywniałą twarz nieszczęśliwego inkasenta, który mu był tak wierny i oddany. Serce się mu ścisnęło na myśl o rozpaczycy Zofii, którą dotknął cios tak straszliwy i to na parę dni przed ślubem...

Na stoliku, tuż obok łóżka, rzucony był pusty pugilares z inicjałami braci Johansenów — bezpośrednia przyczyna śmierci biednego Pocha.

Doktor Paulin przystąpił niezwłocznie do obejrzenia zwłok. Z lewej strony piersi, mniej więcej na wysokości piątego żebra przedarta koszula odsłaniała ranę bardzo dziwnego kształtu. Nie ulegało wątpliwości, że powstała ona od uderzenia szwedzkim nożem, opatrzonym skówką ze sprężyną. Skówka ta zostawiła na ciele ślady bardzo widoczne i charakterystyczne. Uderzenie musiało być bardzo gwałtowne... śmierć nastąpiła odrazu, gdyż ostrze noża dosięgło serca.

Pobudką zbrodni była kradzież, nie ulega to wątpliwości żadnej, skoro banknoty znikły z pugilaresu. W jaki sposób jednak morderca dostał się do pokoju?.. Oczywiście przez okno, wychodzące na gościniec, drzwi bowiem były

zamknięte od zewnątrz. Kroff wyłamał je przecież w obecności i przy pomocy Broksa.

Kroff na zadawane pytania odpowiadał bardzo spokojnie i stanowczo.

Po dokładnem obejrzeniu ofiary i całego pokoju wszyscy udali się na podwórze, chcąc obejrzeć dom z zewnątrz. Przedewszystkiem skierowali się do okna pokoju, w którym nocował Poch. Od pierwszego rzutu oka zauważyli, że prawa okiennica była wyłamana, prawdopodobnie przy pomocy jakiegoś drąga. Haczyk żelazny był też wyrwany gwałtownie. Szczątki stłuczonej szyby leżały na ziemi. Morderca oczywiście wybił tę szybę, przesunął ramię do wnętrza pokoju i otworzył okno.

Dokoła domu widać było liczne ślady stóp, które na wilgotnej ziemi odcisnęły się doskonale. Ślady te jednak krzyżowały się ze sobą i przedstawiały kształty tak dziwaczne, że za wskazówkę dla policyi służyć nie mogły. Pochodziło to ztąd, że dnia poprzedniego, jeszcze przed przybyciem agentów, mnóstwo ciekawych krążyło dokoła szynku, czemu Kroff przeszkodzić nie mógł.

Następnie sędzia i major Verder podeszli do okna pokoju, gdzie nocował nieznajomy. Nie przedstawiał nic podejrzanego. Okiennice zamknięte były szczelnie. Przy dokładniejszych jednak oględzinach urzędnicy zauważyli w niektórych miejscach rysy na ścianie. Były to, jakby ślady butów człowieka, wykradającego się przez okno.

Postanowiono obejrzeć ten pokój z wewnątrz. Drzwi były otwarte. Na progu stał policyjant. Mrok panował zupełny. Major Verder podszedł do okna, otworzył je, podniósł haczyk, przytrzymujący zawiasy okiennic, które w jednej chwili rozwarły się szeroko, wpuszczając do pokoju snop dziennego światła. Łóżko nie zasłane, na stoliku ogarek świeczki łojowej, dwa krzesła drewniane, na kominku trochę popiołu i parę niedopalonych głów, stara szafa z pustymi szufladami — oto co ujrzeli przedstawiciele władzy. Żadnej wskazówki, prócz rysów na ścianie zewnętrznej.

I to jednak stanowiło dowód niemałej wagi:

Przeszukano następnie pokój Kroffa, podwórko i ogród, lecz nigdzie nic podejrzanego nie zauważono.

Utwierdziło to wszystkich w mniemaniu, że morderca wdarł się do pokoju inkasenta przez okno, wychodzące na gościniec.

Wreszcie sędzia Kerstorf przystąpił do badania oberżysty. Umieścił się w sali restauracyjnej za dużym stołem. Obok niego zajął miejsce pisarz, a nieco dalej, w około stołu zasiedli

doktór Paulin i bankier Johansen, ciekawi zeznań szynkarza. Kroff odpowiadał jasno i bez namysłu.

— Panie sędzio — mówił głosem spokojnym, przedwczoraj wieczorem, około godziny ósmej, dwaj podróżni przybyli do mego zajazdu, żądając noclegu. Jeden z nich kulał lekko, w drodze bowiem karetka się przewróciła i stłknęła sobie nogę...

— Byłto Poch, inkasent z banku Johansenów, nieprawdaż?..

— Tak... sam mi to wkrótce powiedział, dodając przytem, że gdyby nie wypadek w podróży byłby wraz ze stangretem i konduktorem tej samej nocy pojechał do Parnawy... Co za szkoda, że się stało inaczej... Broksa tego wieczoru nie widziałem wcale... Miał przybyć zaledwie rano ze stelmachem i po naprawieniu karetki zabrać Pocha i nieznanego

— Czy Poch nie mówił po co jedzie do Rewla? — badał sędzia.

— Nie. Kazał mi tylko podać kolację i zajął z wielkim apetytem... Było już około dziesiątej, gdy poszedł do swego pokoju, który zamknął od wewnątrz na klucz i na zasuwkę.

— Co robił drugi podróżny?

— Drugi podróżny udał się natychmiast na spoczynek i nie chciał się niczem posilić. Odchodząc uprzedził mnie, że na powrót konduktora czekać nie będzie lecz wstanie o godzinie czwartej i pójdzie do Parnawy pieszo.

— Czy nie wiesz, kto to był?

— Nie, panie sędzio. I Poch nie wiedział o tem. Podczas kolacji opowiadał mi, że w przeciągu całej podróży nie mógł wyciągnąć od swego towarzysza ani pięciu słów... Podobno cały czas siedział otulony kapturem w rogu karetki, jakgdyby nie chciał być poznany. Ja również nie przyjrzałem mu się wcale i z pewnością nie byłbym go poznał, gdybyśmy się jeszcze spotkali.

— Kto był jeszcze w szynku, gdy przybyli obaj podróżni?

— Kilku okolicznych włościan i drwali, następnie podoficer Eck ze swym pomocnikiem.

— A, — przerwał bankier, — był Eck!... Zdaje mi się, że on znał Pocha.

— Istotnie. Rozmawiali ze sobą podczas kolacji.

— A potem wszyscy się rozeszli?... badał dalej sędzia.

— Tak jest. Około w pół do dziewiątej — odparł Kroff. — Wtedy zaryglowałem drzwi od wewnątrz i zamknąłem je na klucz.

— Czy nie można ich było otworzyć od zewnątrz?

(c. d. n.)

Skrzynka do listów.

Nauczyłam się dzielić z wami, drodzy czytelnicy, każdym wrazeniem i nie raz czytając gazety, mam ochotę zwołać was dokoła siebie, żeby radzić wspólnie nad zasłyszonym zdarzeniem. Tyle ich, bardzo różnych, obja się o wasze uszy, a jakie budzą w gromadce mojej uczucia? Oto, cobym wiedzieć chciała!

Chciałabym wiedzieć, czy Kwintus, Syn Polski, lub Orzeł biały, zdają sobie sprawę z doniosłości historycznego faktu zwołania Dumy państwowej na 10 maja. Naród Rosyjski nie brał dotąd udziału w uchwalaniu nowych zarządzeń dla swej ojczyzny, teraz dopiero otrzymał prawo wypowiedzania swego zdania o sprawach całej państwo obchodzących i uchwalania projektów nowych ustaw. Ale i dla Polaków dzień 10 maja ma ważne znaczenie. Słusznie żądamy, aby danem nam było mieć sejm w Warszawie, sejm wybrany przez głosowanie wszystkich obywateli kraju, otwarcie więc Dumy w Petersburgu ułatwi posłom z Królestwa wypowiedzania i stwierdzania w tym względzie pragnień całego narodu.

Wy, choć jeszcze bardzo młodzi, rozumiecie już, że praca dla ojczyzny jest najpierwszą pracą, najszlachetniejszym zadaniem każdego obywatela. Sposóbście się do niej pilną nauką i karnością, pomnąc, że Polska upadła przez brak poszanowania dla praw.

Orle biały, staraj się korzystać z udzielanych ci nauk, bo lata mijają prędko, ani się spostrzeżesz, kiedy przyjdzie twoja kolej służenia ojczyźnie, a dziś służyć jej możesz, pełniąc sumiennie obowiązki i przykładem karności zachęcając kolegów do pracy.

Śliczny zamiar twój, Zaczytana, temwięcej trafia do serca, że przed wielu laty sama powzięłam podobny i udało mi się stworzyć porządną wiejską szkołę. Dążenia do pracy nad ludem miała Polska od dawna, nie mogła ich tylko w czyn wprowadzić, wy młodzi szczęśliwsi jesteście, ale też tem większa ciężka na was odpowiedzialność.

Ktokolwiek jesteś, Iro, wierzaj, że z szczerem wzruszeniem czytałam list twój i powiastkę. Nie nadaje się ona do druku, ale dużo w niej szczeroci, prostoty, humoru, a to bardzo cenne przymioty w przyszłej autorce.

Witaj, Myszek polna, wielką radość sprawiłaś Jaskółce swoim listem, bo zdaje mi się, że znam mamę tej Myszkii, a jeśli tak, to dużo, bardzo dużo razy, ze czcią wspominam twego dziadunia, którego śmierć przed laty uczuł cały kraj. Donieś Myszek, czy mój domysł słuszny, i napisz dużo szczegółów o sobie i siostrzyczce. Cieszy mnie, że podoba ci się powieść «Wśród Łotyszów».

Długo będziesz musiał czekać na moją odpowiedź, Bohunie, chociaż odpisuję natychmiast po odebraniu listu, wydrukowanie numeru pisma zabiera dużo czasu, a poczta też marudzi często z przesyłką. Pragnę zaś bardzo zawiązać z tobą bliższą znajomość, dziś więc donoszę ci tylko, że należy pisać *warcaby* nie *arcaby*.

Jadzia Pot. przysłała opis ciekawej podróży, proszę bardzo, kochaną korespondentkę o dalsze listy, zalecając tylko staranniejsze pismo, które od 15-letniej staruszki należy się moim zmęczonym oczom. Dlaczego Kaukaz nazywasz Kawkazem, a góry Taurydzkie Tawrydzkimi? wielki to błąd, a my, Polki, szczególnie dbać powinnyśmy o czystość naszego języka.

Daleko pofrunęłaś, Sikorko z nad Ussy, ale dogoni cię nagroda wysłana przez Redakcję razem z żądanym numerem. Tylko czemu Sikorko tak skąpe dajesz wiadomości o Młodej Sarnie, a ja jestem szczerze zaniepokojona jej zdrowiem. Posłałabym ci

chętnie trochę śniegu, za którym tęsknisz, i tą tęsknotą do polskiej zimy droga mi jesteś.

Wyraz «burżuazya», o który pytasz **Zosiu R.**, jest pochodzenia francuskiego (od słowa bourg, gród) a w szerszym znaczeniu oznacza stan trzeci, (kupcy, przemysłowcy, inteligencja i t. p.), który po wielkiej rewolucji francuskiej uzyskał zupełne równouprawnienie polityczne z duchowieństwem i szlachtą.

U nas aż do początku XIX wieku stanu tego właściwie nie było ze szkodą dla ogólnego ustroju. Socjaliści nazywają burżuazją wszystkie klasy posiadające, a stąd utarło się pogardliwe miano «burżuj», jako niby egoista, myślący tylko o swoim szczęściu i wygodach. Egoiści są we wszelkich stanach i warstwach, a starać się trzeba o wspólność i miłość wszystkich stanów w narodzie, bo jak pięknie powiedział Mickiewicz: «Wspólna moc tylko zdoła nas ocalić».

Pewnie, że przytulę cię pod skrzydłami, **Sokole IO**, tembardziej, że tak czytelnie i starannie piszesz. Napisz tylko, jakie czytałeś już książki, a chętnie radą służyć ci będę.

Witaj **Żółty Kanarku** znamy się dawno, prawda, tylko przedziernąłeś się w ptaka, kiedy wprzód byłeś... Otóż nie powiem kim, bo Jaskółka umie być dyskretną. Donieś, czy brat twój jest zadowolony z pobytu w Krakowie i czy zna już dobrze to piękne, drogie sercom polskim miasto.

Trudno mi uwierzyć w mróz **Ukrainko**, bo u nas dziś 8 stopni ciepła, pierwiosniki pewnie już kwitną, tylko w Warszawie nie ujrzeć naszych leśnych lub polnych kwiatów, same zamorskie rośliny po sklepach. Nie twój kuzynkę miałam na myśli wspominając *Ukrainkę*, tamta kochana korespondentka odjechała daleko i pewnie stracę ją na zawsze.

Biały Gołąbku musisz przyjąć przestrożę od życzliwego ptaka. Rymy nie stanowią poezji, trzeba że-

by w niej była myśl i forma piękna. Lepiej prozą a od serca napisz do Jaskółki.

Dziękuję **Łyzwo** za ciekawe szczegóły o pożytecznym waszem towarzystwie i życzę z serca, aby jaknajwięcej liczyło członków.

Pragnę **Lauro z Wańska** dać ci dokładną odpowiedź, ale muszę wiedzieć, gdzie masz zamiar dalsze odbywać studia, nie wszystkie bowiem uniwersytety stawiają kandydatom te same wymagania.

Lusi Rudnickiej redakcja wysłała już żądany numer pisma, a możeby ta kochana *Lusia* napisała sama, czy odebrała przesyłkę a także co w Wieczorach najwięcej ją zajmuje.

Na sam koniec skrzynki zachowałem list dwóch miłych kwiatków **Macierzanki** i **Szarotki**. Miłe, bo któżby nie uśmiechnął się przyjaźnie do skromnych roślinek, co zdobią nasze polskie rozłogi i góry? Cieszę się bardzo, że polubiłyście *Wieczory*, będą wam wiernie niosły echa z nad Wisły, a waszej starszej siostrze wspomną niedawne czasy, kiedy i ona była korespondentką naszą. Wiele takich starszych, użytecznych już na różnych polach, pracownic polskich wyszło z naszego grona, śle im wszystkim serdeczne pozdrowienie wierna
Jaskółka.

TREŚĆ:

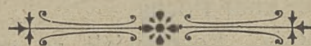
Z utworów zapomnianych poetów «*Buława Rewery*» (wiersz z ryc.). — List otwarty Henryka Sienkiewicza. — Wspomnienia z lat młodzieńczych, przez St. Br.—Nasze ryciny.—O broni palnej.—Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a.—Skrzynka do listów.—**Dodatek:** Feniks i dywan czarodziejski. — Powrót taty, albo Jaś rycerzyk, przez Józefa Jankowskiego. — Słowo honoru. — Zadania i łamigłówki.

Rozwiązanie łamigłówki

LABIRYNT

z Nr. 9.

Czarna linia wskazuje szlak drogi, którą postępował podróżny, aby dostać się do zamku, nie przekraczając żadnego płotu.



Przypominamy o wczesnem **odnowieniu prenumeraty** na kwartał 11 dla uniknięcia zwłoki w przesyłce pisma.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek. OGŁOSZENIA: po 15 kop. wiersz 1-oszp. petitu. ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska**.

W drukarni E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.

WIECZORY

RODZINNE.



FENIKS

i Dywan czarodziejski.

(Ciąg dalszy.)

— Ja uważam, że nikt nie ma prawa wyrażać życzeń, dopóki wszyscy nie zgodzą się na jedno! — zrobił uwagę Robert. — A to co?

W tejsze chwili, niespodziewanie, zaczęło się podnosić coś szarawego naokoło dywanu... Zrazu było to wysokie na pół łokcia—w chwilę potem już na łokieć, na dwa — trzy, cztery, pięć łokci! Rosło prędko i zasłaniało światło.

Antea spojrzała w górę, na niebo i ściany, które już były wokoło o sześć łokci wysokie.

— Zjeżdżamy w środek wieży! — krzyknęła. — Na tej wieży niema dachu... Dywan spuszcza się na sam dół.

Robert zerwał się. Dywan opuszczał się powoli.

-- Trzeba było... O! gniazdo sowy!

Oparł się nogą na gładkim gładzie występującym ze ściany i pochwycił ręką za głęboką framugę okna — szeroką od jego strony, a zwężającą się od strony zewnętrznej.

— Ostrożnie! — krzyknęli wszyscy.

Ale Robert nie był dość ostrożny. Zanim wyjął rękę z sowiego gniazda, w którym było jaj, dywan osunął się już w dół o cztery łokcie.

-- Skacz! gapiu! — krzyknął Cyryl, przejęty braterskim niepokojem.

Ale Robert nie mógł odrazu obrócić się i skoczyć. Zanim zdążył usiąść na szerokim parapecie okna i przygotować się do skoku, już mury wieży wzniosły się o trzydzieści stóp ponad głowami dzieci, które spuszczały się ciągle w dół, a Robert został we framudze okna sam jeden—bo nawet sowy nie były w domu. Mur był gładki i nie można było myśleć o wdrapaniu się na górę — a zeskoczyć!.. Robert zasłonił oczy rękoma, i wcisnął się w wąską framugę, jak mógł najgłębiej... Był zabezpieczony od upadku, ale między nim a przeciwną ścianą była pusta przestrzeń. Poło-

żenie straszne! Wtedy dopiero Robert zrozumiał, że dywan może ich przyprawić o równie niebezpieczne niespodzianki, jak te, które się trafiały, gdy Psammed spełniał tak ochoczo wszelkie życzenia dzieci.

A reszta!... Wyobraźcie sobie ich uczucia, kiedy dywan opuszczał się wolno i równo na samo dno wieży, pozostawiając Roberta ucepionego w oknie. Robert o tem nie myślał, bo miał dosyć własnych uczuć, ale wy możecie to zrozumieć...

Gdy już dywan opadł na ziemię, postradał odrazu tę sztywność, która dzieciom dodawała otuchy podczas podróży, i legł obwisły na kamieniach i kupkach ziemi, zupełnie jak zwy-



Podróż na dywanie czarodziejskim.

czajny dywan. Skurczył się tak nagle, że niemal wysunął się z pod nóg dzieci, które stały na ziemi, a dywan powrócił do właściwych rozmiarów, i nie zapełniał już całego wnętrza wieży, tylko sam środek, pozostawiając dużo wolnego miejsca naokoło.

Dzieci spoglądały po sobie osłupiałe, potem podniosły głowy i wyteżyły wzrok, daremnie usiłując dojrzeć, co się stało z biednym Robertem. Naturalnie nie mogły go widzieć.

— Żałuję, żeśmy tu przyjechali! — zawołała Kizia.

— Ty zawsze żałujesz po niewczasie — odpowiedział Cyryl krótko.—Nie możemy przecież zostawić tam Roberta. *Chce*, żeby dywan przyniósł go do nas, na dół..

Dywan jakby się ocknął ze snu, rozciągnął się, wyprostował szybko i frunął w górę. Dzieci czekały, podniósłszy głowy..: Dywan unosił się coraz wyżej. Zatrzymał się na chwilę w miejscu, budząc w nich srogi niepokój — a potem zaczął się spuszczać i opadł wreszcie na ziemię z Robertem. (d. c. n.)



Józef Jankowski.

Powrót taty, albo Jaś rycerzyk.

Obrazek dramatyczny w dwóch odsłonach podług ballady Mickiewiczowskiej.

(Ciąg dalszy.)

Aniołowie razem (trzymając się za ręce).

O, tak! o tak! czynmy śmiało,

Co nam niebo przykazało.

Niech się pełni jasność cała:

Chwała Panu, chwała, chwała!

(Ulatują w powietrze i znikają; światłość długo jeszcze pozostaje).

Matka (ocknąwszy się).

Co się ze mną naraz stało?

Przed oczyma jakby biało —

Dziwna jasność bije wkoło,

W duszy prawie aż wesoło...

Czy Bóg żywy, czy anieli

W swojej łasce przefrunęli?...

Znikł niepokój, co myśl chwieje,

W sercu błogą mam nadzieję,

Wszystko wdziękiem mi jaśnieje...

Już nie lękam się, nie trwożę,

Ufam, ufam Tobie, Boże,

Modłę, kruszę się i korzę!

(Pochyliła się przed obrazem, zasłona zwolna spada).

ODSŁONA II.

Wzgórek malowniczy pod miastem przy drodze. W pobliżu gęste krzewy i las ciemny, głęboki. Na wzgórku figura z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Na niebie w dali płonie zorza zachodu. Dzieci wchodzą, zbierając kwiatki.

Halina.

I tu kwiatek — i tu kwiatek,

Jaki przepych i dostatek!

Jeszcze nigdy, nigdy prawie

Nie widzieliśmy na jawie

Tyle pięknych kwiatków w trawie!

Istne cuda, istne cuda!

Maciuś.

Maciuś także nie maruda,
Zebrał pełne dwie garsteczki.

Małgosia.

Toż kwiateczki! toż kwiateczki!

Jaś.

Macie tutaj śliczne zboże,
Do bukietu wam dołożę.

Halina.

Dajcie, dajcie wszystko razem,
Położymy przed obrazem.

Maciuś.

Będzie to pachniało Bozi

Małgosia.

Bozia za to nie pogrozi.

Maciuś (do Jasia — na stronie).

Powiedz, Janek! mój kochany!

Czy w tych krzakach są *Indyany*?

U! brrr... Boję.

Może ich tam całe roje —

Żeby, Janku, pójść we dwoje...

Jaś.

Płocha główka u Maciusia:

A czekanie na tatusia?

Halina.

Patrzcie, patrzcie, co się dzieje

Tam na niebie: tarcza złota

Cała blaskiem promienieje.

Jakieś złote gmachy, wrota

Wstają, piętrzą się bez końca,

A obłoczki malowane

Przesuwają się na zmianę.

Jaś.

Przecudowny zachód słońca!

Od tych blasków, od czerwieni

Aż się wszystko w oczach mieni

I w złocisty splata wianek.

Małgosia.

Pełno, pełno niespodzianek!

(d. c. n.)



SŁOWO HONORU.

(Dokończenie.)

Po obiedzie, dzieci wybiegły na chwilę na ganek odetchnąć świeżem powietrzem, ale było tak zimno, że prędko wróciły do pokoju.

— Ależ to dzisiaj mróz! jak w zimie, choć to dopiero listopad — rzekł Boles, zacierając skostniałe ręce.

— No, tak wielkiego mrozu jeszcze nie ma — odparł Franio, zawsze więcej umiarkowany w zdaniu, ale zapewne, że czas nieprzyjemny, bo jest wicher.

— Jakto, niema mrozu! daję słowo honoru, że musi być ze sześć stopni; od wichru by mi tak palce nie zeszywniały — wykrzyknął z zapalem Boles, ale w tem urwał i zaczerwienił się. — Nie, nie, słowa nie daję — poprawił się skwapliwie -- ale myślę, że musi być ze sześć stopni.

— Bardzo dobrze, że słowa nie dajesz, bo właśnie jest dwa stopnie ciepła — roześmiał się Franio — umyślnie patrzyłem u optyka na termometr, powracając ze szkoły.

Zasiedli do swoich zajęć; Andzia napowrót wzięła się do rysowania mapy, Franio powtórzał słówka łacińskie, Boles zebrał pęk piór, ołówków, linii i z całym tym przyborem usadowił się pod samem oknem.

— Co ty będziesz robił, Bolciu?

-- Będę wykończył tytułową kartkę do mojego zielnika; aż mi wstyd, że jeszcze nie gotowa. Rolski i Milewicz już dawno swoje ponapisywali i powklejali, a to przecież była moja myśl i ja chciałem najpierw pokazać panu profesorowi.

— No, to wszystko dobrze, ale czy umiesz już lekcye?

— Eh lekcye! jeszcze się nauczę; mało to mam czasu wieczorem? A tego przy lampie robić nie mogę.

Godzina zesza bardzo cicho i przykładnie. Bolcio pracował nad zielnikiem, aż mu oczy poczerwieniały i kark bolał od ciągłego nachylenia, ale też za to, co za przesliczny napis! Każda litera wycieniowana, obwiedziona czerwonym atramentem, aż miło patrzeć. Takiego zielnika z pewnością nie powstydzi się przed nikim.

Ojciec, idąc na spacer, wstąpił do ich pokoju.

— Uczycie się? to dobrze — a co tam Boles tak smaruje, trzymając jeden ołówek w zębach, a dwa za uchem.

— Ja, proszę ojca, robię napis do mego zielnika.

— A nauczyłeś się wszystkiego na poniedziałek?

— Jeszcze nie, ale się nauczę wieczorem, teraz wieczory takie długie, a napisu nie mógłbym robić przy lampie.

— Już widzę, że się na tem skończy, że będziesz się jutro douczał; wiesz jak tego nie lubię; dzień powszedni jest na przygotowanie lekcyi, a niedziela właśnie na tego rodzaju zajęcia.

— Słowo honoru daję, że się wszystkiego jeszcze dzisiaj doskonale wyuczę.

— Znowu słowo! — powtórzył ojciec z niezadowolaniem.

Boles oczy spuścił.

— Przepraszam bardzo, to mi się przy-

padkiem wyrwało, ale w przyszłości dotrzymam z pewnością.

Ojciec wyszedł — Boles powrócił do zielnika, mówiąc sobie w duszy: Zaraz zacznę się uczyć, tylko jeszcze „Bolesław“ napiszę kiedy mi tak ładnie idzie — Sikorski, to już naprawdę zostawię na jutro.

Ściemniało się, kiedy głośny dźwięk dzwonka dał się słyszeć w przedpokoju. — Andzia, ciekawa pobiegła zaraz dowiedzieć się, co tam takiego, tembardziej, że przy sobocie spodziewała się przybycia na herbatę cioci i wuja, którzy ich w tym dniu najczęściej odwiedzali. Po chwili powróciła do braci, skacząc i klaszcząc w ręce z radości.

— Co za szczęście! co za szczęście! wiecie, ciocia napisała, żebyśmy natychmiast przychodzili do niej, wypijemy razem herbatę, a potem zabierze nas wszystkich do teatru. — Dają „Obronę Częstochowy“.

— Bravo! — wykrzyknął Franio. Kochana ciocia, że nas zaprosiła! ja taki byłem ciekawy tej sztuki.

— No, tylko ubierajcie się prędko, ja muszę jeszcze zmienić suknię, ale będę w minutkę gotowa. Mama sama odprowadzi nas do cioci.

Franio wziął się żwawo do składania książek. Boles stał ciągle koło swego stolika z oczami wbitemi w ziemię i miną tak strapioną, jakby usłyszał z ust Andzi najsmutniejszą nowinę.

— Prędzej Bolciu, bo się spóźnimy! — zawołała Andzia, wesoło pociągając go za rękaw!

— Ja... ja nie pójdę z wami, nie mogę iść — wyjąknął Boles.

— Jakto, nie pójdziesz do teatru? co ty mówisz? dlaczego?

— Nie mogę iść, bo dałem ojcu słowo, że się dziś jeszcze nauczę wszystkich lekcyi, a dotąd nic nie umiem.

Franio i Andzia patrzyli na siebie pomieszani.

— Ależ Bolciu, to się jutro nauczysz, już ja sama tatki poproszę, żeby ci pozwolił na ten jeden jedyny raz, złamać słowo; potem już nigdy — zaczęła nieśmiało Andzia, ale Boles przerwał jej wstrząsając przecząco głową.

— Nie Andziu, słowa ani razu złamać nie można; już ja to teraz rozumiem; choćby mi tatuś pozwolił, wiem, że miałby o mnie bardzo złe wyobrażenie, gdybym z tego pozwolenia skorzystał, więc już wolę zostać w domu, chociaż mi teatru żal.

Mężczyźnie, który nie chce złamać danego słowa, nie wypada także płakać nad koniecznością dotrzymania go — to też Boles bardzo nieznacznie otarłszy oczy rękawem, zapalił lampę i zasiadł do książki, a Franio i Andzia

zaczęli się ubierać, przez wpół już tylko tak uradowani nadzieją czekającej ich przyjemności.

— Może mama jeszcze co na to poradzi— myślała Andzia.

Mama jednak, dowiedziawszy się o całej sprawie, ani jednym słówkiem nie sprzeciwiła się postanowieniu Bolcia, wydała tylko dla niego podwieczorek i poleciła mu, ażeby się w jej nieobecności z lampą ostrożnie obchodził.

Wszyscy wyszli; Boles pozostał sam nad książką. Ach, jak to trudno się uczyć, gdy wszyscy idą do teatru! Przed oczami Bolcia ciągle unosiła się kurtyna i zdawało mu się, że słyszy artystów.

— Nie, nie będę o tem myślał, bo w takim razie i tak nie nauczę się i słowa nie dotrzymam — rzekł do siebie.

Minuty i kwadransy mijały; mama powróciła już od cici, tatko przyszedł ze spaceru, a Boles ciągle uczył się z równą pilnością, nie pozwalając nawet myślom swoim uciekać w stronę teatru.

Zawezwano go na kolację. Poszedł, ale serce mu trochę biło na myśl, co tatko powie— czy go pochwali, czy zgani, że się zawczasu lekcyi nie nauczył.

Tatko przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

— I jakże Bolku, żal ci teatru? — zagadnął wreszcie, gdy już zjedli kolację i służąca zaczęła zbierać talerze.

Boles zarumienił się powyżej uszu, ale śmiało spojrzął ojcu w oczy.

— Nie będzie mi żal, proszę tatki, jeżeli tylko... tatuś zechce odtąd wierzyć mojemu słowu; bo ja obiecuję, że już go nigdy w życiu nie złamię, choćby mnie to nie wiem co kosztować miało.

— Dobrze Bolciu — rzekł ojciec, kładąc mu z uśmiechem rękę na ramieniu — twój dzisiejszy postępek daje mi rękojmię, że tej obietnicy dochowasz. Nie szataj często twojem słowem, ale raz je dawszys, dotrzymuj święcie, a wyrosniesz na dzielnego człowieka i nie tylko ja, ale wszyscy polegać na twojem słowie będą.

Od tego dnia nie było słowniejszego chłopca nad Bolesia; prawda, że odzwyczaił się od ciągłego powtarzania: daję słowo honoru — ale gdy raz za co zaręczył, nikomu już nie przychodziło na myśl powątpiewać o tem, bo wiedzieli wszyscy, że dotrzyma święcie.

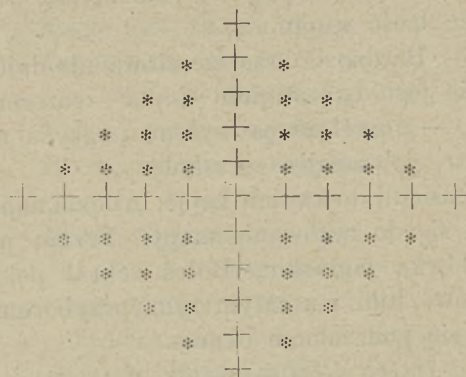
Irena Mrozowicka.



Zadania i łamigłówki.

Łamigłówka kryształowa.

ul. Kalina.



Zamiast kropek i gwiazdek podstawić należy litery tak, aby środkowe litery w kierunku pionowym złożyły nazwisko jednego z królów polskich.

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska, 2) Organ powonienia, 3) Miasto w Lotaryngii, 4) Mieszkaniec Greulandyi, 5) Ciecchna na morzu Śródziemnem, 6) Żądane w zadaniu nazwisko, 7) Poeta polski, 8. Imię żeńskie, 9) Sprzęt w gospodarstwie domowym wiejskiem, 10) Organ wzroku, 11) Samogłoska.

Szara da.

ul. Zbyszko N.

Pierwsze — przyimek, drugie, trzecie — rzeka,
Czwarte przeczenie
A całe ulgą nieraz dla człowieka
Niezapreczenie.

Kwadrat magiczny.

ulożyła Zosia Ordyńska.

	1	2	3
1	K	K	K
2	O	O	O
3	O	R	T

Tak należy poprzestawiać litery, aby otrzymać trzy trzyliterowe wyrazy, któreby się jednakowo czytały w kierunku pionowym i poziomym. Znaczenie wyrazów: 1) Okres czasu, 2) Organ wzroku, 3) Zwierzę domowe.

Rozwiązania do N-ru 8-go.

Zagadki w obrazku: Obróciwszy obrazek na lewo w poprzek znajdujemy Araba, leżącego na ziemi po prawe stronie.

Zagadki literowej: Wielki Fost.

Zagadki kropkowanej:

Gdy wiele godnych czynisz spraw, mów o tem mało
Bo coś sławie przyczynił, ujmiesz próżną chwałę.
Niech raczej inny widzi i chwali twe sprawy,
A tak będzie nagrodę miał postępek prawy.